

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 114,

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 30 listopada 1861 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Tytus Działyński (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—List Tadeusza Padalicy z Ukrainy (z trzema drzeworytami).—Wycieczka do Gdańska przez Deotymę (ciąg dalszy).—Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego.—Oracz, poeta (z dwoma drzeworytami).—Szachy i rebus.

Tytus Działyński.

Tytus Działyński służył społeczeństwu serdecznie, zdolnością i majątkiem, służył mu przez całe życie swoje, dłuższe może aniżeli potrzebował dla nabycia wieńca nieśmiertelności, ale bardzo krótkie, jeżeli zważymy co mógł jeszcze zrobić dla braci swojej przykładem szlachetnym i najzaśniejszą pracą.

Sława przodków nie dała Tytusowi Działyńskiemu zasnąć jednej chwili spokojnie, a zacny człowiek utrzymać się musiał na tym samym stanowisku co starzy Działyńscy; inaczej zrobiłby sobie przy końcu życia bolesny wyrzut, że sponiewierał zasługi przodków i że opuściwszy się sam, ubliżył znakomitemu nazwisku które nosił.

Powinnością jest potomków rodzin historycznych przypominać się ciągle społeczeństwu, żeby nie pokryły się z czasem niepamięcią dawne prawa i zasługi. Tak tę powinność rozumiał i nasz Działyński, który nie przestawał na tém co miał, a w czele narodu chciał się posuwać wyżej i wicznie wyżej. Szlachetna to ambicja Kollataja, Ignacego Potockiego, Stanisława Małachowskiego. Ale Działyński nasz nie żył już w rzeczywospolitéj, szukał więc innego pola zasługi jak przodkowie. „Pierwszy po długich orszakach przodków moich, mówi w przedmowie do Tomicyanów, nie miałem urzędu w rzeczywospolitéj.“ Działyński nietylko ciągle pracował dla przyszłości, ale i pokoleniom dzisiejszym bezustannie przeszłość przypominał.

Od lat dwudziestu kilku ciągle go widzieliśmy na czele obywateli poznańskich; pracował bez wytchnienia, nie zrażał się żadnymi trudnościami. Z drugiej strony Działyński nie zawarł hojnej ręki przed ogromem swoich literackich przedsięwzięć i w szlachetnym zapale mówił do swoich cyceronijskim językiem najwyższej uczoności: „*Mihi properandum necessario est, ut omnia vobis, quae mihi constituta sunt, possim exponere; spieszyc się muszę, ażebym wam to wszystko zostawił, co mi Bóg zostawić kazał.*“ Te słowa były godłem Działyńskiego. Bibliografowie kiedyś całe o nim tomy zapiszą.

Adam Tytus Działyński urodził się w Poznaniu 25 grudnia 1797 r. Ojcem jego był Ksawery, matką Justyna z Dzieduszyckich. Ojciec ten i rodzony brat jego a stryj Tytusa, Ignacy, szef regimentu pieszego wojsk koronnych, obadwaj wojewodzicowie kalisy, posłowali na sejm wielki, ojciec z ziemi wschowskiej od r. 1788, stryj z ziemi dobrzyńskiej od r. 1790. Ludzie znakomici sercem i charakterem, należeli do

wszystkich pracowoczesnych, popierali reformy i wolność miast królewskich. Ignacy odznaczył się w boju; Ksawery był zastępcą konsyliarza w najwyższej radzie pod sterem Kościuszki. Ignacy potem na Ukrainie dowodził wojskiem, które przerzynać się miało nad Bug i Wisłę; ale uwięziony, dostał się do Berezowa. Ksawery był w legionach, potem opłacił się sowiecie władzom pruskim, powrócił do ojczyzny, ożenił się i siadł gospodarzyć na ojców ziemi. W pięknych dobrach swoich konarzewskich, pierwszy zaprowadził szczepienie ospy. Kiedy mu się syn wtenczas narodził,

Ma albowiem takie zamiłowanie to szczególnego do siebie, że dziwnie usposabia człowieka do powagi. Język łaciński, sam w sobie zwięzły, surowy i energiczny, doskonale przystał todzie rzymskiej, sukni poważnej i uroczystej. Przypominają się zaraz na dźwięk tego języka senatorowie na rynku, i Kato, i Cycero gdy gromi Katylinę. Znałca, miłośnik literatury starożytnej, koniecznie poważnym być musi. W tym kierunku rozwijał się młody umysł Działyńskiego, który w późniejszych już czasach, przez to ciągle obcowanie z klasykami, wyrobił się wśród nas na prawdziwego Rzymianina, postawą i językiem. Mówił i pisał po cyceronijsku, a działał jak rzymski senator nieskazitelnej cnoty.

Ale był i drugi kierunek w jego wychowaniu, kierunek na który może najprzeważniej wpłynęły okoliczności. Pod opieką Napoleona utworzyło się księstwo warszawskie. Ksawery Działyński był jednym z najpierwszych obywateli w Wielkopolsce, co dało hasło do nowego życia, a wyszedłszy z wiejskiego ustronia, do którego się schronił przed dziesięciu laty, był i członkiem tymczasowego rządu, i jeździł w kilku poselstwach razem z innymi do Napoleona, i wreszcie zasiadł w senacie wojewodą.

W roku 1810 pojechał do Paryża, pokłonić się wielkiemu słońcu, i bawił tam przeciąg czasu niemały. Wziął z sobą syna, który miał już lat 13, i w Paryżu oddał go do szkół publicznych. Młody Tytus nabrał w nich smaku do nauk przyrodzonych i matematyki i rozwinął w sobie to znowu drugie zamiłowanie do tak wysokiego stopnia, że za zmianą wypadków politycznych, kiedy opuścił Francją, wstąpił do szkoły politechnicznej w Pradze czeskiej i nietylko że w niej ukończył zupełny kurs nauk, ale nawet złożył jak się należy całkowity egzamen na stopień profesora matematyki.

Tymczasem zmarł ojciec jego w r. 1819 i Tytus Działyński został panem rozległego majątku: miał w księstwie poznańskim dobra konarzewskie i kórnickie, a w królestwie sarnowickie i oleksowskie w województwie sandomierskim.

Długą sprawę o Kórnik prowadzili Działyńscy z Szoldrskimi w ostatnich czasach. Historyczne to dziedzictwo zamożnych niegdys rodzin wielkopolskich, najprzód Górków, potem Czarnkowskich, od lat już stu było w rękach Działyńskich; lecz wyszło z tej rodziny spadkiem po kądzieli przez Teofilę z Działyńskich Szoldrską starościnną łączyczką, która potem poszła za męża za Aleksandra Potulickiego, starostę borzechowskiego, ale się z nim rozwiodła. Było to jeszcze za czasów Augusta III. Z pierwszego małżeństwa pozostał syn jej Feliks, ostatni dziedzic po matce na Kórniku. Chcieli Działyńscy przyjść napowrót do tej swojej własności, którą już za rodzinną uważali, i prowadzili o to proces, który sprawił że Kórnik popadł w zaniedbanie.



TYTUS DZIAŁYŃSKI (Rysował z fotografii Polkowski).

Ksawery oddał się wychowaniu dziecka z całym zapalem.

Wychowanie to było nadzwyczaj praktyczne i może jedyne w swoim rodzaju, jak na owe czasy. Kierował nim z początku w domu ksiądz ex-jezuita Miszewski, dzielny znawca starożytnej literatury. Umiał nauczyć przelać w młodego ucznia swoje zamiłowanie do klasyków, a wpływ jego musiał być silny, kiedy Tytus nietylko że się dobrze nauczył po łacinie, ale rozkochał się w Cyceronach, Wirgiliach, Tacytach i Kwintylianch, jakby mędrzec starożytny.

Tytus wziął w udziale po ojcu same prawie ruiny wspaniałego niegdyś zamku. Odezwała się w nim natychmiast duma rodu, która nie pozwalała na to, ażeby mieszkanie przodków zostało tylko historyczną pamiątką dawnych, świetniejszych czasów; zajął się więc przebudowaniem i odnowieniem Kórnik. Nie upłynęło lat kilka, a stanął zamek w innej postaci, bo dziedziec rozwijał go w coraz piękniejszych kształtach i w coraz większych rozmiarach. Nie była to praca jednej chwili, ale życia całego. Co rok przybywało coś do ozdób zamku, zewnątrz lub wewnątrz: wszędzie wzory sztuki architektonicznej, rzeźbiarskiej, stolarskiej, wszędzie przepych i wytworność, połączone z miłością wszelkich zabytków krajowych. Najpyszniejsze odrzwia, rzeźby, inkrustacje, sprzęty wszystkie w zamku wykonywano według rysunków starożytnych polskich, z których niejedne sięgały nawet XIV wieku. Sam Działyński kierował robotami, jako technik, ze znajomością i miłością przedmiotu.

Te wspaniałe gmachy kórnickie nie mogły przecieżyć tylko zaspakając dumy historycznej właściciela. Tytus Działyński natrafił tam na stare podania innego rodzaju, w których się rozmiłował. Od najdawniejszych czasów słynął Kórnik swojemi księgozbiarami. Już w XVI wieku Stanisław Górka, ostatni potomek swój rodziny, wojewoda poznański, zgromadził tam bogatą bibliotekę, która najwięcej powstała ze spadków po rodzonych braciach, Łukaszu wojewodzie poznańskim i Andrzeju kasztelanie międzyrzeckim. Górkowie należeli do gorliwych rodzin dyssydenckich, więc i biblioteka kórnicka najwięcej bogatą była w dzieła niekatolickie; najrzadsze dzieła polskie, druki brzeskie, szamotulskie, pińczowskie, tudzież kosztowne wydania zagraniczne Oporynów i Plautynów, znajdowały się w Kórniku. Andrzej Czarnkowski wojewoda kaliski, dziedzic bezpośredni po Górkach zamku, jako siostrzeniec trzech ostatnich braci, pomnażał tę bibliotekę, która po jego śmierci, niewiadomo już jakim sposobem, rozeszła się pomiędzy ludzi; znaczna jej część dostała się bernardynom we Wschowie. Potem któryś z Grudzińskich, chwilowo właściciel Kórnik, znowu założył bibliotekę i posiadał bogate archiwum familijne.

Los zbliżył Działyńskiego do księcia generała ziem podolskich, żywego słowa niedawno co jeszcze przebrzmiałych podań. Był ten mąż patriarchą młodego pokolenia; sercem, nauką, całą osobistością swoją budził głęboki szacunek. Sam należąc do najcelniejszych pisarzy wieku stanisławowskiego, zbierał bibliotekę i pamiątki krajowe gromadził w Puławach. Książę generał zakupił bibliotekę porycką Czackiego, do której się tyle zebrało polskich osobliwości i rzadkości, posyłał nawet do Szwecyi ludzi uczonych, ażeby mu rękopisma i pamiątki polskie przywozili. Usposobienie ojca odziedziczył syn, książę Adam, senator-wojewoda królestwa i członek towarzystwa przyjaciół nauk.

Szlachetny przykład jest zarazliwy. Cały świat polski ówczesny zbierał pamiątki literackie i dopełniał dzieła Bentkowskiego. Znaleźć inny rok, format, druk, albo miejsce wydania na książce o której wspomnieli Bentkowski, było to w pojęciu epoki odkryć wyspę jaką nieznaną na morzu, była to zasługa, której wtedy natychmiast publiczny hołd oddawano. Cóż mówić o wypadku, jeżeli udało się komu odkryć nowe jakie i niezapisane nawet u Bentkowskiego dzieło? Rzekłoby się być to wypadek na swoje czasy, a nie jeden zbieracz i bibliograf winien całą sławę swoje naukową tym dopełnieniom, które do Bentkowskiego poczynił. Działyński, zachęcony przykładem Czartoryskich i sławą literacką Kórnik, począł także gromadzić książki, jak Konstanty Świdziński, jak tylu innych po różnych stronach kraju. Niemcewicz i towarzystwo puławskie wyraźnie go do tej pracy zachęcało. Naturalnie przebywając ciągle w Warszawie, poznał bliżej Bentkowskiego. Raz rzekł mu z serdeczną wdzięcznością:

—Dziękuję ci, bo z miłośnika koni, stałem się wielbicielem książek starych.

Z Czartoryskimi połączyły go wówczas i węzły pokrewieństwa, ożenił się bowiem 19 listopada 1825 roku w Puławach z wnuczką księcia generała ziem podolskich, Celiną Zamojską, córką senatora-wojewody, prezesa senatu królestwa. Wziął za nią w posagu dobra oleszyckie w Galicyi.

Miał więc Działyński majątki swoje aż pod trzema rządami; ale chociaż rodzina jego pochodziła z Wielkopolski, chociaż tam był Kórnik, gniazdo i stolica Działyńskich, uważał się ciągle za obywatela królestwa i tutaj chciał pracować dla kraju.

Uczeni zbierali wtedy biblioteki i rękopisma, robili odkrycia w dziedzinie historii narodowej; ale nigdy dotąd u nas nie rozwijało się, chociażby na najmniejszą skalę, wydawnictwo materiałów historycznych. Długo nie mieliśmy nawet kronik najważniejszych,

z których czerpać przychodziło światło o losach przeszłych narodu: cóż mówić o wszelkich innych materiałach! Długosza dopiero wydał Herburt w części, a całkowicie Huyssen w XVII wieku; Lengnich odszukał Wincentego i Galla; Bohomolec i Żaluzki przedrukowali kroniki Bielskiego, Strykowski i t. d. Wład brakło uczonym źródeł do badań historycznych; ztąd powiemy, ztąd może i uczonych nie było, co by umieli zaglądać do źródeł. Jeden tylko geniusz świecił wśród tej masy kompilatorów, w jakich czas ten bogaty. Człowiek to był niezmiernie nauki i wytrwałej pracy: trafił do bibliotek, pod strychy, do archiwów, a czego tylko dotknął się, to pod jego piórem wybierało zaraz i kształty i życie, rozwijało pojęcia, stwarzało poglądy, bogaciło niezmiernie naukę. Jeszcze dzieje nasze nie miały takiego czarodzieja przed Lelewel. W swojej ulubionej nauce, Lelewel tylko jeden podówczas pracował z pojęciem wyższem celów naukowych, nie jako zimny kompilator, ale jako prawodawca, nauczyciel całego pokolenia uczonych, bo geniuszem swoim upłodnił ziemię oczyszczoną i wywołał szkołę, której nie miał żaden z jego poprzedników. Co jemu niedostępne było? Fakta pojedyncze, cywilizacją narodu, monetę, prawodawstwo, herby, zwyczaje, wszystko objaśnił! Starzy nie widzieli, nie pojmowali nauki, ale za to z całym ogniem zapалу pojmowała, chwytala ją ucząca się młodzież. Działyński więc zbliżyć się musiał do Lelewela.

Zaczynało się już wtenczas nawet i wydawnictwo pomników historycznych, rzecz u nas zupełnie nowa. Niemcewicz zbierał pamiętniki o dawnej Polsce; Raczyński rozpoczynał świetny swój zawód od wydania listów Jana III Sobieskiego i materiałów do historii króla Stefana; sam Działyński około r. 1828 ogłosił w Brzegu na Śląsku „Pamiętniki J. K.“, chociaż bez tytułu i przedmowy. Uczonych z rzemiosła najwięcej jednak wtenczas obchodziło prawodawstwo narodowe, nieobrobione jeszcze i jak mumia nieruchome w voluminach legum. Prócz ksiąg tych znajdowały się przecież tu i owdzie inne nieznanne pomniki prawodawstwa narodowego. Świeżo przypadkiem Świdziński odkrył kodeks dla miast, napisany przez Macieja Śliwnickiego, zabytek złotych czasów jagiellońskich, który niezmiernie zainteresował uczonych. Jerzy Wincenty Bandkie i Lelewel krzatali się około prawodawstwa; Lelewel wydał pomniki same i tłumaczenie uchwał mazowieckich. Prawodawstwo litewskie najwięcej było zaniedbane. Rządziła się wprawdzie Litwa statutem zyguntowskim, ale zresztą, od czasu unii lubelskiej, słuchała praw i konstytucyj koronnych. Ważną było rzeczą dla samej historii cywilizacji narodu, wydać te pomniki przed-uniowe prawodawstwa litewskiego, które już jako pamiątka historyczna pozostały po dawnych książętach Jagiellońskich. Dla Litwy świeżo budził swojemi wydaniami interes Ignacy Daniłowicz, który wybierał i objaśniał latopisy, to jest przeszłość narodu, a osobno oddał Lelewelowi przygotowany zupełnie do wydania statut litewski redakcyi pierwszej; nad drugim sam jeszcze pracował r. 1826. Lelewel dwa lata nosił się z tym drogiem ciężarem swoim. „Niedopiero zachodziłem do metryk koronnych, pisze sam o sobie, poszukując dokumentów historycznych; z takich wybierałem co mogłem dla pomników prawodawstwa litewskiego.“ (Przygody w poszukiwaniach i badaniach rzeczy narodowych polskich, str. 48). Poprzednio jeszcze oddał Lelewel Daniłowiczowi dosyć statutowych kodeksów, które z biblioteki puławskiej wypisał (tamże str. 35). Tak urosł zbiór piękny, do którego przywiązane jest na wieki nazwisko Działyńskiego; młody mecenas albowiem, dowiedziawszy się o tej ważnej pracy, postanowił dać uczonym w ręce prawodawstwo Litwy. Nie mógł sam chodzić około tego, bo nie znał przedmiotu; ale oczywiście autor ksiąg bibliograficznych poradził mu ten wybór w wydawnictwie i sam miał się zająć redakcją. Przygotował i statut w trzech językach i wstępne prawodawstwa pomniki. Tak zespoliły się dwa szlachetne usiłowania: bogatego obywatela, co dawał nakład, i dwóch uczonych mężów, którzy dawali pracę. Wszystko to miało się odbyć pod opieką i powagą towarzystwa przyjaciół nauk.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

W tych dniach otwartem zostało przy klinice tutejszej ambulatoryum chirurgiczne, to jest zakład lekarski, udzielający porady chorym przychodnim, a cierpiącym na słabości zewnętrzne, chirurgicznej pomocy wymagające.

Nie każdy może, czytając ogłoszenie w gazetach naszych o otwarciu powyższego zakładu, zastanowić się nad tém, jak wielki pożytek może on przynieść osobom potrzebującym pomocy lekarskiej, zwłaszcza też biedniejszym, którym położenie materyalne częstokroć nie dozwala ratować się tak jakby należało.

Dotychczas brakowi pomocy tego rodzaju zarządzało dwojakim sposobem: najprzód w szpitalach większych, gdzie istniały już podobne ambulatorya, powtóre w domach lekarzy, gdzie wielu z nich poświęcało codziennie po parę godzin czasu na porady bezpłatne. W obu razach pomoc ta, lubo nader zbawienna, nie mogła przecież przedstawiać w zupełności tych korzyści, jakie ambulatoryum kliniczne następcza. Przy natłoku bowiem chorych rzecz trudna, aby lekarz, czy prywatny, czy szpitalny, mógł zbyt długo zajmować się badaniem cierpienia jednego człowieka. Tutaj zaś względy naukowe konieczne tego wymagają. Lekarz-profesor musi zwrócić uwagę uczniów na wszystkie objawy cierpienia i wyczerpać do dna przyczyny i źródło choroby, aby potem oznaczyć jej rodzaj i właściwsze leczenie. Nadto w wypadkach ważniejszych, gdy jaka niezwykła przypadłość pojawi się, gdy zajdzie potrzeba zastosowania trudniejszej operacyi, albo długiego leczenia, chory może być pozostawionym w klinice i tam pielęgowanym z największą starannością. Cieszymy się z powstania tego zakładu i pragniemy tylko aby publiczność nasza, pozbywszy się przesądów i nie wierząc pogłoskom jakie zwykle pomiędzy ludnością miast uniwersyteckich o klinikach krąży, z zaufaniem udawała się tam o pomoc.

Otwarcie ambulatoryum klinicznego przyniesie, jakżeśmy to już powiedzieli, wielką pomoc biednym chorującym; wszelako zdrowi, przyciśnięci innego rodzaju cierpieniami, napróżno wyglądają jakiego ambulatoryum, któreby im ulgę przynieść mogło. A w istocie pacycenci tacy niemniejsze mają prawo do zajęcia się ich losem.

Iluz to biédaków cierpi na suchoty kieszeniowe (*Phthisis portmonaria*), które przy ogromnej drożyznie, a trudności zarobkowania, szerzą się epidemicznie!

Już wprawdzie „Przyjaciół zdrowia“, w artykule swym o obiadach garnuszkowych, starał się w jednej części zaradzić złemu, a nawet znaleźli się zaci ni ludzie, którzy swą pomoc do zamienienia rady w czyn ofiarowali; wszelako nietylko jedno pożywienie posilne a tanie, może ulgę przynieść ludziom ubogim; równie ważnemi a kosztownemi są dwie inne potrzeby życia, mianowicie: pomieszkanie i opał.

Wielu bardzo mieszkańców naszej stolicy gnieździ się w zabójczych suterrenach, albo w zatęchłych i wilgotnych mieszkaniach domków umierających ze starości; rodziny z kilku osób złożone duszą się w niezdrównej piwnicznej atmosferze, bo droga komornego nie dozwala im zakosztować przyjemności zdrowego mieszkania.

Wielu musi marznąć w nieopalonych izbach, bo drzewo coraz wyżej idzie, i przy postępowem gospodarstwie leśnem, zapewne niedługo w sklepach korzennych, jak cynamon, na wagę sprzedawanem będzie. Węgiel zaś kamienny, lubo ogłaszany w Kuryerze po 56 kopiejek za drobniauchny korzec, (nie górniczy), w rzeczywistości płacić trzeba najtaniej po złp. 4 gr. 20.

Otóż tu należałoby koniecznie otworzyć jakie ambulatorya.

Warszawa szczyliła się przed parą jeszcze laty nazwą małego Paryża, a to z powodu iż się uroiło komus, że w niej równie dobrze bawić i stroić się można, jak w stolicy Francyi. Dziś o tém nikt nie mówi; wszelako nie tak łatwo odzwyczaić się od kilkudziesięcioletniego nałogu. Aby więc z owych czasów zachować jakąś pamiątkę, któraby ten niegdyś nadawany tytuł usprawiedliwić mogła, wartoby przejąć od Paryża coś pożyteczniejszego, a mianowicie:

Municipalność Paryża buduje na przedmieściu św. Antoniego wzorowe domy dla robotników, tak dla bezżennych, jako i dla całych rodzin. W obrębie tego miasta wyrobniczego mają być urządzone ochrony, szkółki, a nawet łazienki, dla wygody niezamożnych mieszkańców. U nas budują wprawdzie piękne domy, z kosztownem wewnątrz urządzeniem i obszernemi apartamentami, zapomniano jednak zupełnie o klassach biedniejszych, które nie mają wcale pretensyi do kosztownych obić, połączanych klamek i floresowanych posadzek. Dlaczego jednak zapomniano? oto dlatego, że ta część ludności naszej nie może płacić po kilkaset złotych za jeden pokój, ani też wynajmować mieszkań po pięć, sześć lub siedm tysięcy rocznie.

Ponieważ municipalność nasza niema funduszków może na podobne przedsięwzięcia, czyby się nie udało utworzyć stowarzyszenia na akcyę, któreby budowało domy dla uboższej klasy mieszkańców? Być może iż przedsięwzięcie takie nie przyniosłoby pro-

centów, jakie właściciele pięknych i kosztownie urządzonych domów pobierają. Wszelako, zważywszy że budowanie gmachów dla uboższej ludności nie wymagałoby drogich obić, posadzek, malatur i szyb kryształowych, że wspaniałe apartamenta często i długo pustkami stoją, jak nas o tym najdokładniej zawiadomiamy poczywaj nasz Kuryerek, sądzimy iż jedno drugie zrównoważyłyby mogło, a przedsięwzięcie mieliby jeszcze tę pociechę moralną, że otarliby niejedną łzę i niejednemu ojcu lub matce rodziny przedłużyli potrzebne dla dzieci ich życie.

Zajmując się pilnie statystyką naszego miasta, czerpiąc w źródłach pewnych, doszliśmy iż w Warszawie corocznie konsumpcja ostryg wzrasta. I tak: przez przeciąg sezonu ostrygowego spożyto tych gadów morskich:

W r. 1840	—	—	—	37,624
" 1850	—	—	—	63,852
" 1855	—	—	—	81,375
" 1856	—	—	—	84,422
" 1857	—	—	—	89,699
" 1858	—	—	—	94,275
" 1859	—	—	—	108,446
" 1860	—	—	—	124,540

Rzecz prosta że z roku bieżącego nie możemy jeszcze podać cyfry ogólnej, gdyż pora ostrygowa za ledwie od dwóch miesięcy nastąpiła.

Zapyta nas kto, jaki może być pożytek ze statystyki ostryg? Oto ten, iż cyfry te przekonywają nas jak sztuka gastronomii coraz bardziej rozwija się. Ostrygi są termometrem innych przysmaków, im się ich więcej spożywa, tym więcej wypija się wina, a wiadomo każdemu że niezbyt taniami winami uprawiają się te skorupiaki. Jeżeli same nie są zbyt drogie, bo jedna ledwie tyle kosztuje co półtora funta chleba, albo funt mąki, to dołączony różny akcesorya, niezbędne do tego skromnego posiłku, śmiało twierdzić możemy, iż, pomimo ciągłych dążeń do poprawy i wyrzeczenia się zbytków, smaczne śniadanka licznych jeszcze mają zwolenników. Fabrykanci sztrasburskich pasztetów, Cliquot'a i Jacquesson'a, nieprędko jeszcze poczyna ubolewać nad naszym miarkowaniem i długo może jeszcze podniebieniu będziemy opłacać uciążliwy podatek.

Czytając nieraz traktaty uczone o rozmnażaniu sztucznym ryb, wpadliśmy na myśl, czyli z powodu wzrostu spożywania ostryg, nie możnaby założyć gdzie pod Warszawą sztucznej ostrygarni. Mniemamy iż na ten cel niekoniecznie używać potrzeba wody morskiej, bo nasze rodzinne skrzelki (muszle rzeczne) żyją w słodkiej, i kto wie czyby się nie udało uszlachetnić tych krajowych małżów, a sprowadzać tylko w butelkach wodę morską do ich zaprawy w czasie spożywania.

Zostawiamy dalsze rozwinięcie tego projektu specjalistom, znającym się na ostrygach.

Otwarcie żelaznicy (używamy tego wyrazu, jako będącego już w ustach ludu, zwłaszcza w Galicyi i okręgu krakowskim) pomiędzy Łowiczem a Kutnem, z pośrednią stacją w Pniewie, nastąpi w dniu 1 grudnia r. b. i zbliży znów sześćo-milową przestrzeń kraju do stolicy. Wiadomość ta nie powinna być obojętną dla naszej publiczności, z każdą bowiem zyskaną miłą dogodną komunikacji w kraju, mianowicie też takiej jak droga żelazna, zwiększa się pomysłność jego mieszkańców.

Wiadomo że ogłoszono w Poznaniu nagrodę za napisanie dokładnego życiorysu Tadeusza Kościuszki. Zadanie to nie jest trudne, jeżeli piszący ograniczy się na tym, co dotąd w tym przedmiocie wiemy; lecz nielatwe, jeżeli pokusi się o nowe, nieznanne szczegóły jego życia, co właśnie powinno być celem powyższej pracy. Kościuszko znanym jest tylko z niektórych szczegółów swjej młodości, a potem z krótkiego zawodu publicznego i długiego pobytu w Szwajcaryi, który przecież mało zajmującego przedstawia. Nie znamy prawie zupełnie czasu który przepędził na kształceniu się w szkole kadetów w Warszawie, jak również szczegółów jego pobytu w Ameryce. W aktach byłego korpusu kadetów, znajdujących się podobno w archiwach komisji skarbu, znaleźćby można wiele zajmujących o Kościuszcze szczegółów, od chwili wstąpienia jego do korpusu, aż do opuszczenia go. Co do pobytu w Ameryce, ziomkowie nasi przebywający w Stanach Zjednoczonych, powinni by po tamecznych archiwach śledzić wieści o sprawach generała, który niemało przysłużył się musiał nowo powstającemu mocarstwu, skoro mu tam pomniki wystawiono.

W Poznaniu także od 1 stycznia roku przyszłego wychodzić zacznie nowe pismo naukowo-literackie, p. t. *Tygodnik Poznański*, w objętości jednego arkusza co tydzień. Zadaniem tego pisma, według nadesłanego nam prospektu, ma być przedstawienie ogólnego ruchu umysłowego, tak w kraju, jak i zagranicą,

pod względem literatury, nauki i przemysłu, z pominięciem kwestyj politycznych, religijnych i socjalnych. Prenumerata kwartalna wynosi w Poznaniu 1 talar., na pocztę 1/4 talara. Redaktorem będzie znany z prac naukowych Dr. Kaźmirz Szulc.

Olbrzymi katalog bibliograficzny, zebrany we Lwowie przez jednego z niezmordowanych pracowników (Krakowianina), którego druk wkrótce ma rozpocząć pan Cels Lewicki, już jest ukończonym i przepisuje się do druku. Litera A gotowa, głoskę B przepisują, a sumienny autor troskliwie poszukuje wszelkich wskazówek, któreby pracę jego mogły udokładnić. Dlatego, mimo wiedzy szanownego autora, upraszamy wszystkich mających katalogi rzadkie, lub notatki bibliograficzne polskie, aby takowe przesyłali na ręce p. Celsa Lewickiego, księgarza warszawskiego; idzie tu bowiem o to, aby praca ta mogła być jaknajdokładniejszą.

Całość ma obejmować 400 arkuszy ścisłego druku. Czy siły pojedynczego nakładcy a początkującego księgarza na to kosztowne przedsięwzięcie wystarczą, o tym nie chcemy wyrokować; w każdym jednak razie możeby nieźle było, gdyby znalazł się ktoś coby jego chęci poparł materialnie, gdyż niedojście do skutku wydawnictwa, byłoby niepowetowaną szkodą dla naszej literatury.

Jakkolwiek nie wdajemy się nigdy w sprawy małżeńskie, ani badamy w jaki sposób tysiące naszych współbraci przyjmuje te różane pęta, wszelako nie możemy się powstrzymać, iżby nie udzielić czytelnikom naszym osobliwszego rodzaju oświadczenia, jakie przed półrokiem skojarzyły pewne stadło.

Szczęśliwy ojciec pięknej weale córeczki, za czasów miejskiej poczty, odbiera przez nią list mniej więcej następującej treści:

Wielmożny i szanowny panie!

Bieg życia mego.

Nazywam się N. N., urodziłem się dnia N. miesiąca N. roku 1836. W młodości mojej nauczyłem się czytać i pisać, poczem oddano mię do szkół powiatowych w N., w których ukończyłem klasę cztery. Następnie rodzice oddali mię do rzemiosła w N., ale ponieważ to nie zgadzało się z moją usposobieniem i zamiłowaniem do pracy umysłowej, przeto porzuciłem rzemiosło i udałem się na aplikację w N., gdzie przebywszy lat cztery, wszedłem na etat i awansując przez lat trzy, doszedłem do pensji 4,000 złp. Ujrzałem pańską córkę i pokochałem ją z całą ognistością mego serca. Do ciebie więc udaję się, wielmożny i szanowny panie, prosząc o jej rękę i przyrzekając że dla niej całe moje życie poświęcę; w przeciwnym razie nie pozostaje mi jak habit albo śmierć, zwłaszcza że już wzajemność pozyskałem, co jest rzeczą niezmierniej wagi, jak to wielmożny i szanowny pan, będąc sam synem, mężem i ojcem, najlepiej pojmuje.

Nie racz tedy, szanowny panie, zmuszać mię do opuszczenia tego świata w jakibądź sposób i zwiększenia tem samym mej kariery, coby twoje szlachetne sumienie okropnie obciążyło.

Zostaję z szacunkiem i poważaniem.

N. N.

— I jakież skutek odniósł ten pan N? zapytał mię mój znajomy, któremu ten list przeczytałem.

— Dostał pannę, bo ojciec, przerażony rozpaczą młodzieńca, oddał mu swoją córkę, a nawet parę tysięcy pod poduszkę włożył.

— Muszą też żyć jak para gołąbków.

— Gdzież tam, mój drogi. Panu N. uprzykrzyła się pani N., i dziś już podobno wszelkimi sposobami wyszukuje drogi, którą mógłby się wyzwolić z owych pęt różanych.

Za prawdziwość tego zdarzenia powagą naszą kronikarską zaręczamy.

LIST TADEUSZA PADALICY Z UKRAINY.

Dajemy tu dwa rysunki miast ukraińskich, widoki *Czehryna* i *Czerkas*. Są to dziś dwa najpospolitsze miasteczka, gluche, ciche, zapomniane i dodam bardzo prozaiczne. Wszakże każdy kto mniej więcej obeznany jest z historią naszą, często się spotykał z temi nazwiskami i musiał je zapamiętać z wielu epizodów wojen tatarskich i kozackich, które krwią zapisały w niej kart kilkadziesiąt. Widok Czehryna zdjęty jest z przeciwnego brzegu Taśminy. Podnoże góry na którym siedzi kilkadziesiąt domów i chałup, było niegdyś właściwym miastem, a na górze, której dziś całą ozdobą jest krzyżyk, stał ów sławny ongi zamek, który wytrzymał najzaciętsze szturmowanie polskich, moskiewskich, kozackich i stutysięcznych hord tatarskich. Do samego prawie końca XVI wieku,

Czehryn nie ma wydatnej roli w dziejach ukraińskich. Położony na samym krańcu stepów, zwanych przez Beauplana *Dzikim polem*, otoczony z jednej strony smugą szeroką piasków zaścielających lewy brzeg Taśminy, z drugiej jarami i głębokimi parowami pokrytymi odwiecznym lasem, był on zapewne, jak Czerkasy, jak Trachymirów, stacją kozacką, wystawioną na napady hord tatarskich i w ciągłych z niemi walkach. Dopiero zawichrzenia Nalewajki upamiętniły go w 1596 roku porażką hetmana Żółkiewskiego, uwiecznioną w dumach i legendach. Sto lat następnych zrobiły ten punkt sławnym, i tu z kolei, jakby o jaką niewzruszoną skałę, przychodziły rozbijać się stutysięczne zastępy. Któżby dziś, patrząc na tę nędzną miejscinę bez ruchu i życia, odgadł że dwukrotne jej oblężenie kosztowało przeszło sto tysięcy ludzi? że o posiadanie tego garbu nad piaszczystym brzegiem Taśminy, zwały się podwakroć trzystotysięczne masy?

Najpamiętniejszym ustępem w historii Czehryna jest epoka Doroszenka i Jurasia Chmielnickiego, lata 1677 i 1678. Pierwszy rok pamiętny został porażką Turków i Tatarów, odpartych od Czehryna przez kozackie i moskiewskie pułki, drugi wzięciem i ostatecznym zburzeniem zamku i miasta przez wezyra Kara-Mustafę. Czytając te opisy, dziwimy się o co tu spierano się tak zawzięcie i co tu wzięcie było tak trudno? Po raz pierwszy brało go 100,000 Turków i Tatarów, i straciwszy prawie całą tę masę w kilku bitwach, odstąpili nie zdobywszy zamku. Po raz drugi dwakroć liczniejsze przybyły zastępy i po kilkodziennych walkach zdobyły go nakoniec i zburzyły ze szczeniem. Ostatni ten dzień był okropnym. O południu nastąpił mocny wybuch min przeprowadzonych pod mury. Pękły w wielu miejscach ściany, olbrzymie kawały oderwały się, wyleciały z ludźmi w powietrze i szerokie porobiły otwory. Janczarska piechota zapalczywie rzuciła się tamtędy i trzykroć była odpartą. Lecz niepodobnieństwo opierania się dłużej było widoczne. Myny porobiły spustoszenia ogromne, mnóstwo żołnierzy porozrywały na sztuki, pokaleczyły, innych opaliły jak głównie. Jęki tych nieszczęśliwych napelnili miasto i zwiększyły przestraszonych. Zwłoki błogosławionego metropolity kijowskiego, Józefa Tukałskiego, wyniesione zostały w trumnie, jakby cudem, przez jednego sługę nieboszczyka i przyniesione do obozu. Bojaźliwsi zaczęli uciekać z miasta przez most leżący na Taśminie; ale tu nastąpiła druga, niemniej okropna scena. Most, obciążony ludem, zawała się i uciekający padają do rzeki. Taśmina pokrywa się warstwą topielców tak grubą, iż formuje jakby drugi. Turcy postrzegają to z góry i podwoiwszy usiłowania, wdzierają się do miasta, zapalają je ze strony gdzie stał dom Petranowskiego i w ogólnym zamieszaniu mordują lud bezbronny. Krynicki, pułkownik hadziacki, cofa się ze swym pułkiem, grzeźnię w Taśminie i ginie. Ci którzy uciekali przez groblę pod zamkiem leżącą, dostali się szczęśliwie do obozu. Jedni serdiukowscy Kozacy nie myśleli o ucieczce i przy cerkwi świętych Apostołów, oparli o zamkową górę, bili się jak lwy do zmroku. Natenczas wzmagający się pożar zmusił Turków do odwrotu. Kozacy cofnęli się do zamku i połączyli się z moskiewską załogą, a za nadejściem nocy, straciwszy nadzieję utrzymania się, zapalili drewniane budowy, działa napelnili prochem i wyszli przez taśmińską groblę do obozu. Wkrótce po ich wyjściu wzmógł się pożar i objął cały zamek wraz z cerkwią. Zaczęły strzelać i rozrywać się działa, a o północy ogień doszedł do składów prochu i nieopisanym grzotem zakończył dzieło zniszczenia, oświecając krwawą luną pożaru całą okolicę. Działo się to 11 sierpnia.

Odtąd już Czehryn nie powrócił do dawnego stanu, do tej świetności, którą go odznaczali Doroszenko i Chmielnicki, gdy zeń zrobili stolicę hetmanów, zjeźdźali w nim pułki kozackie i przyjmowali posłów ościenych mocarstw. Po przesiedleniu się starszyny kozackiej za Dniepr, Czehryn znowu stał się miastem starościami. W roku 1763, jak poświadcza lustracja, miał znowu zameczek, ale nie na górze gdzie przedtem był zamek, lecz naprzeciw tej góry nad rzeką. Possessorem tego starostwa był wojewoda poznański, ks. Antoni Jabłonowski. Życie tej miejsciny w wieku przeszłym, jak i okolicy całej, było niespokojne i poddane ciągłym zatargom z pogranicznym Zaporozem i Nowo-Serbią. Przez Czehryn, lub około Czehryna szły zawsze ze stepów te szajki hajdamaków, które napadały na Ukrainę polską i nakoniec humaną zakończyły się rzezią. W okolicach Czehryna, w lasach motroneńskich, zawiązały się one w większą bandę i wylały na Żabotyń i Smilę. Tędy chodził Żeleźniak, tędy z łupami powracał Mamaj i tędy najprostszą drogą była na Zaporozie.

Ten dziki kątek Ukrainy posiada pełno pamiątek zbojeckich. Sobotów, z ocaloną do dziś dnia cerkwią

Chmielnickiego, leży od Czehryna o wiorst sześć tylko. Tam się zapaliła po raz pierwszy ta iskra, od której sto lat potem stała w płomieniach Ukraina. Buzyn, Borowica, Kumejki, pamiętne są bitwami ze zbuntowanym kozactwem, jeszcze silnym i potężnym natenczas. Ale w miarę jak słabła ich potęga, malały siły, i bohaterskie zastępy przeszły na bandy. Już nie pułki, nie hetmani, nie bitwy w XVIII wieku powstają na ukraińskich kresach, ale tu i owdzie chodzą samopas szajki z powrozami i nożem i napadają na karczmy i dwory.

Czerkasy, położone nad brzegiem Dniepru, mają w stosunku do Czehryna i jaśniejszy początek, i weselejszą fizyognomię. Postać Ostafiego Daszkiewicza, który tu mieszkał jeszcze za czasów Zygmunta I, odbija się rycersko na tym tle niewyraźnym jeszcze, ale już poetycznym pierwotnej Ukrainy, kiedy idea posłannictwa kozackiego postawiona została szlachetnie i wyraźnie między Polską a pogaństwem. Nie umiemy powiedzieć dlaczego ten punkt strategiczny nie był nigdy tak ważnym dla stron wojujących jak Czehryn, chociaż stał na straży głównej arterii ukraińskich stepów, bo nad Dnieprem, łączącym Kijów z zaporozką siczą. Zabierano go i odbierano zawsze bez wielkich wysiłków, a najpamiętniejszą bitwą jaką stoczono tutaj, było odparcie szturm krymskiego hana Sajdeta przez Daszkiewicza w 1532 roku. Jeszcze

jął i pamiętał. To była sicz taka sama jak zaporozska, tylko nie ścieśniona regułą zakonną, lecz osadzona na zasadach wspólnych każdemu społeczeństwu i zdolna do rozwinięcia się w społeczność.

Wyobrażenia, język, stosunki, wszystko tu pomieszało się z sobą i każdy z nich podlatał się częściem cudzemu, coś pozostawił swego; jedno zaniósł z nad brzegów Wołgi, drugie przejął z nad Wisły, coś dodał z żywiołu miejscowego, a resztę wykreślił według konceptu własnej głowy — i to komiczne popuri, to zbiegowisko kostiumów i masek, te postacie często oryginalne a zawsze wykrzywione, zajmują cię, rzązą lub śmieszą, wedle chwili w jaką patrzysz na ruch ich i grę rozmaitych kolorów.

WYCIECZKA DO GDAŃSKA.

przez

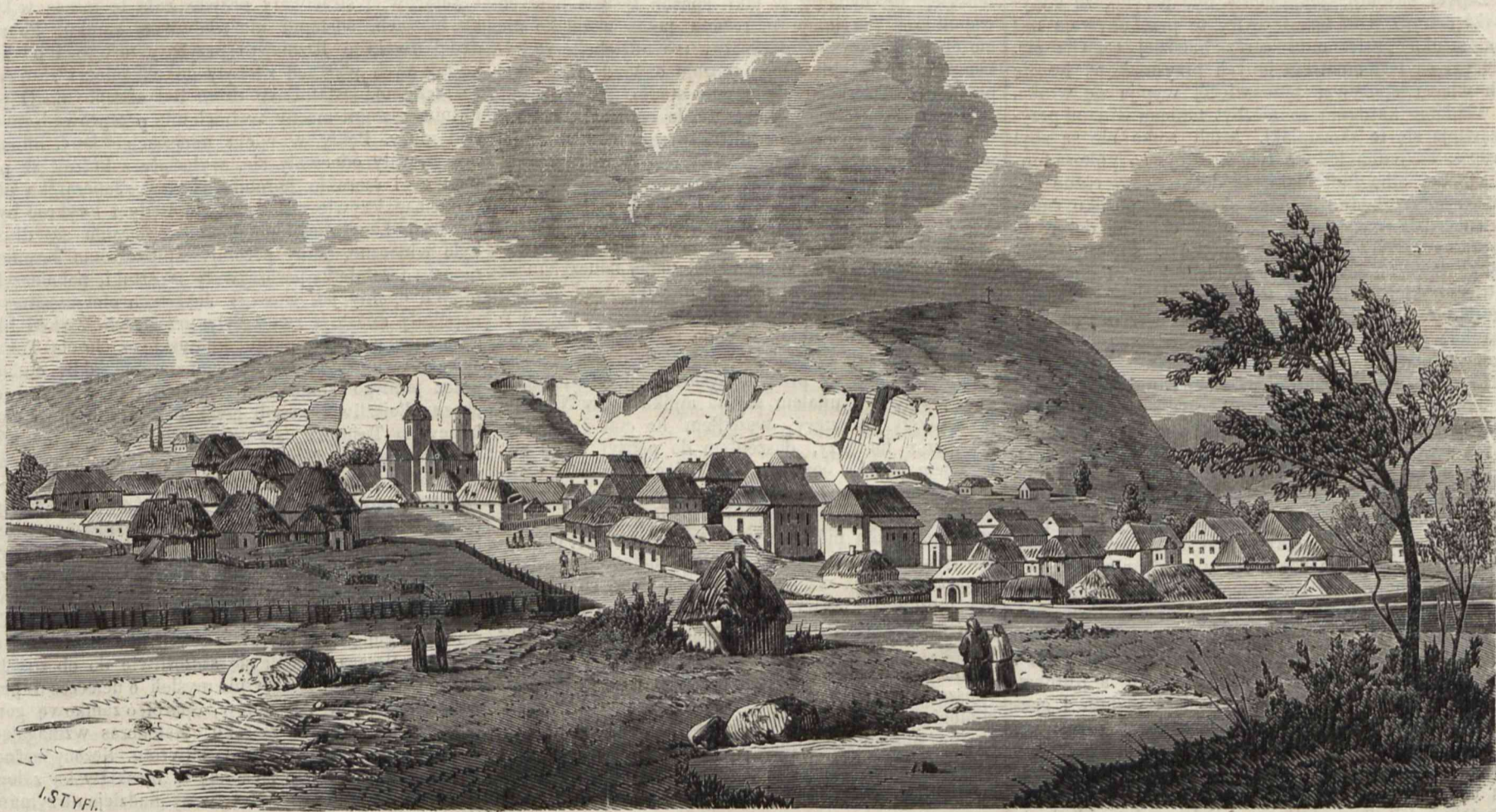
Deotymę.

(Dalszy ciąg.)

Ale wszystkie zabawy bledły przy igrzyskach które wyprawiano w zapusty; wtedy zamęt radosny objawia

na ich głowach pióropusze, jak wieżyczki z mgły i tęczy. Przy czaprakach i strzemionach, rój trzęsidedł złochem brzęczy; jedzie burmistrz na bachmacie, w aksamitnej czarnej szacie, broda jak u patryarchów, dumajak u stu monarchów; cudny paź mu cugle trzyma, paź figlarny z krasą kwiatu, z ruchem ptasim i oczyma nie błękitu, lecz granatu. Wsiadły wójt na rumaki, czapki u nich jak cudaki, miny gęste, krągłe lica, istna w pełni twarz księżycy. Jedzie młodzież turniejowa, czarny wąsik, myśl wesółą, w pióra strusie zdobna głowa, profil jakby u sokola. Modny strój u synów chwały; strój tu wzdęty, tam pęknięty, a z każdego nadpęknięcia, w pufki sterczy atlas biały. Idą grajki, wielkie śmiałki! Chyba gród przewrócą cały, tak co siły dmą w piszczałki, tak co siły grzmiały w cymbały. Zkądże znów ten pochód hardy? To straż miejska marszeruje, marszeruje, imponuje, bo ma w rękę hallabardy. I znów jadą w rząd daleki, z uśmiechającymi ustami, jadą kupcy i panowie, i żeglarze i sędziowie, któż nie jedzie? Wszak zapusty, wszak to Gdańsk i średnie wieki!

A gdy miasto objechali, szli do artusowej sali, przy jednym okrągłym stole, zwycięzcy i zwyciężeni, porównani, pogodzeni, zasiadali w bratnim kole; w pośród mis dymiących stały całe pawie z ogonami, roztruhany z rubinami; tak już oto zszedł dzień biały. W nocy raca się wysunie, ognie syczą, uczy



WIDOK CZEHRZYNA. (Rysował z natury Przyszychowski).

w połowie drugiej 18 wieku stał tu na górze zameczek opasany częstokółem, o strzelnicach nad bramą, miał fosę, most po niej i we wnętrzu ogrodzenia kilka domów. Dziś śladu już nawet niema budynków, ani wału. Starostwo czerkaskie było do podziału kraju w posiadaniu ks. Hieronima Sanguszkii.

Ale odsyłając ciekawszych do historii, powiędzmy słów kilka o obecnym stanie tych miasteczek. Jako miasteczka pograniczne niegdyś od Rossyi, Tatarów i Kozaków, naturalnie nie mogły one być podobnymi do polskich, położonych we wnętrzu kraju. Tylko śmielsza i przedsiębiorcza szlachta osiadała na tych kresach. Potem, w miarę urządzania się okolicy, zaczęły ją zaludniać przybysze ze stron wszystkich; żywioł wszakże miejscowy pomiędzy ludem, a szlacheczką pomiędzy klasą wyższą, były i są do dziś dnia przeważającymi. Lecz ostatnie te punkta, jak ostatnie końce promieni, z samej natury rzeczy nie mogły mieć charakteru wyraźnego. Osiadali tu tacy, dla których kwestya narodowości była podrzędnym zadaniem i gdzie jeden drugiego nie żenował wcale. Albo namiętności, albo chęć zysku, albo widoki osobistej swobody, wyrzucały na te stepy jednego po drugim, jak z głębi Polski, tak z tamtej strony Dniepru. Potem ten tłum różnorodny spletał się życiem hulawczym i krewkością, żenił się, bratał, przywykał, a rozradzając się w nowe potomstwo, przekazywał mu wcale inne warunki życia od tego jakie sam przy-

się w mieście. Na rynku najwięcej tłumu i wrzawy. Tam zwinni robotnicy ustawiają chwilowe budowle z różnobarwnych słupków i jedwabiu; to szranki na turnieje, a nad szrankami ganek dla rozdawczyń rycerskiej nagrody. Wszystkie dokoła kamienice obwieszają się chorągwiemi, damy zasiadły, sędziowie czekają, rycerze wlatują do szranek, tłum różnokolorowy cisnie się w okolo, i rynek wygląda jak szkatuła wyłożona szkarlatem, na którym błyszczy kanak bogactw i urody.

Po odbytych turniejach, następowała najpiękniejsza część obrzędów: wszystkie władze miejskie tryumfalną kawkatką obwoziły po mieście uwieńczonych zwycięzców; była ta kawkatka istnym snem czarodziejskim. Ja ją widziałam!

Tak jest, na własne oczy widziałam, dzięki szczęśliwemu natchnieniu jakiegoś ówczesnego malarza, który cały ten pochód utrwalił na murach artusowego dworca. Jestto owa wstążka drobnych fresków, całą salę obiegająca; umieszczono ją ponad obszerną dębową lamperyą, co pozwala dokładnie jej się przypatrzeć. Jęj tło całe złote; na tym złocie portretowane figurki jadą i jadą, i jeszcze jadą, a tak ich wiele, że przyszedłszy do ostatnich, już zapomniałeś pierwszych, i znów za nimi idziesz, i mógłbyś tak bez końca krażyć. Trudno sobie wystawić, niepodobna opisać jakie tam wszystko pyszne, wystrojone, rozbutniałe, i dziwaczne, i malowne! Idzie rumak za rumakiem,

aż gdzieś w Bałtyku daleko ryby się dziwią ją łunie.

A dziś? Dziś sklepienia zapomnialy jak to się powtarza odgłos trąb i okrzyków. Raz tylko na dobe, przed południem, ów odzwierny w stroju ognistym, ostatnim zabytku starodawnych ubiorów, ustawia na obu stołach drewniane miseczki, nasypane różnorodnym zbożem, przy nich układa w zwitkach próby lnu i konopi, potem idzie zwolna, bardzo zwolna, bo niemłody i smutny, i drzwi od rynku na rozścież otwiera; wtedy tłumy mężczyzn gromadzą się w okolo ziarn i przedziwa, przepływają przez salę czarnymi smugami, rozmawiając półgłosem, spoglądając z roz-targnieniem na urocze mury; aż o pierwszej po południu wszystko się wypróżnia, cisza chodzi po sali z tęsknotą pod rękę; napróżno przez sześć okien słonce rzuca żary, niema tam już brylantów ni oczów dziewiczych, w którychby się odbiły promienie radości. Czasem tylko poeta wędrowny tu zajrzy; wtedy duch jego wskrzesza życie farb i głazów, wtedy burmistrze znowu w koło sali jeżdżą, najady znowu pluszczą, sfory znowu grają, i rycerze się biją, i święci się modlą.

Pod wieczór kierowaliśmy się ku domowi, gdy na rynku kilku znajomych nas spotyka i zapytuje: „czyśmy już wszystko w Gdańsku obejrżeli?“ Odpowiadamy że wszystko, wymieniając na dowód katedrę, ratusz i giełdę. „A klasztor franciszkanów?“ ktoś py-

ta.—„Franciszkanów? Czy tam jest co ciekawego?— „A jakże! Klasztor już pada w zwałiska; ale przechowały się korytarze sławnie sklepione, bardzo ciekawe, a co jeszcze ciekawsze, to ten który“....

Tu mówiący, porozumiewszy się wzrokiem z innymi, nie dokończył opowiadania; wszyscy się tajemniczo uśmiechnęli, i otoczywszy nas, z naleganiem mówili: „Pójdźcie, zaprowadzimy was; raz tu przybywszy, nie godzi się nie widzieć owych sklepien, a nade wszystko“....

Takie ciągle urywanie nici, coraz silniej naprężyło moją ciekawość; to też droga wydała mi się arcydługą, chociaż nasi przewodnicy usiło wali nam ją skracać, opowiadając dawne dzieje klasztoru, jako to: że w pierwszej połowie piętnastego wieku kościół powstał bardzo nadzwyczajnym sposobem. Była to epoka największego wzięcia franciszkanów, tego zgromadzenia, które wówczas przedstawiało słodką i ewangelicznie kochającą stronę w obozie wierznych. Gdy franciszkanie w Gdańsku uzalili się na brak siedliska, zapal tak wielki opanował miasto, iż w krótkim czasie z bogactw stosami znożonych, urosła składka, dostateczna na postawienie najwspanialszego gmachu; nawet odkładanie na kosztą budowlu okazało się zbytecznym, bo zapal tak wzrastał, że mularze i wszyscy inni robotnicy podjęli się darmo wzniesie budowę, do czego niezwłocznie się zabrali, poświęcając temu zajęciu godziny wolne od pracy.

Pod naciskiem ogólnego prądu umysłów, przy radośnym współubieganiu, dzieło poszło z niesłychaną szybkością, i stanął kościół św. Trójcy, jeden z najpiękniejszych w Gdańsku; główna jego ściana, wycięta w górze w trzy gotyckie trójkąty, niby w trzy oka Opatrzności, wydaje się architektoniczną allego-

Ale na tajemniczych swoich wiecach losy zupełnie odwrotnie uradziły; o ile przez trwanie budowy wszystkiemu sprzyjały, o tyle po przyłożeniu ostatniego kamienia odwróciły się od mieszkańców klasztoru. I oto w niedługim czasie, jednego poranku huk straszny rozległ się w tej części miasta, budząc tysiące uspio-

tak rozdrażnił miłość własną zarumienionych rzemieślników, że w kilkanaście lat później odnajdujemy kościół na nowo ukończony i jeszcze piękniejszy niż przedtem.

Ale była to już dla mieszkańców klasztoru złowieszca przepowiednia, niby jakaś przestroga, która, jak wszystkie przestrogi przeznaczenia, na nie się nie przyda, bo ogłasza zbliżające się niebezpieczeństwo, ale nie mówi ani zkad przyjdzie, ani jak go uniknąć.

Z szesnastym wiekiem wybuchła wulkan odrodzenia, strzelający deszczem kwiatów, lawy i płomieni, kwiatów wiosennej sztuki, szeroko-ramienną lawą odkryć i płomieniem wolnej myśli.

Każdy wie jak gorąco, jak namiętnie Gdańsk chwycił się reformy; jest to wielki i tragiczny dramat w dziejach tego miasta. Jedną z najszerszych widowni nowych dysput, jednym z najbardziej kipiących ognisk nowej idei, stał się właśnie ów klasztor, dzieło najkorniejszej wiary. Zakonnicy się rozpierzchają, na ich miejsce hardzi nowatorowie wchodzą do murów, wstępują na kazalnice i porywają tłumy piorunującą wymową. Echa sklepien, nawykłe do odbijania rzeźnych natchnień serafina z Assyżu, uczą się teraz powtarzać surowe hymny reformacji.

Po pierwszej gorączce przemian, zakonnicy na chwilę wrócili do klasztoru, ale tylko na chwilę, i jacyś zmieni-

ni, jakąś owiani niemocą; zamiast żeby nowe wypadki bodźcem im się stały, duch odbiegł ich zgromadzenie, i przeczując kres blizki, usiłowali się odurzyć życiem pełnym wesołości i wygod.

To też ledwie sto lat minęło od wybudowania klasztoru, a już franciszkanie na zawsze go opuścili.



KOŚCIÓŁ FUNDACJI B. CHMIELNICKIEGO W SOBOTOWIE. (Rysował z natury Przyszychowski).

nych. Wybiegają struchleli, nie mogąc pojąć zkad ten grzmot? aż zgromadziwszy się przed kościołem świętej Trójcy, spostrzegają widok, jakiemu oczy ich długo nie chciały uwierzyć. Kościół był nie do poznania zbezkształniony, poszarpany, stał otworem jakby jaskinia. Cała jego przednia ściana runęła, i tylko stos



WIDOK CZERKAS. (Rysował z natury Przyszychowski).

ryą wyobrażenia Trójcy.

Wkrótce powstał i klasztor, zbudowany potężnie jak warownia, uposażony hojnie jak jaki Eden, i zdawało się że dla zakonników, przyjemnie rozgaszczających się w nowych murach, świtają długie czasy spokoju, obfitości i ludzkiej przyjaźni.

gruzów leżał u progów, jakby mogiła tylu usiłowań i artystycznych pomysłów. Praca bezpłatnych rzemieślników, jak każda amatorska robota, okazała się niegruntowną i zbyt pospieszoną, a zakonnicy nie śmieli jej przyganiać, jak darowanemu rumakowi.

Ten jednak wypadek nie ostudził zapalu; owszem

Ostatni ich przełożony, Jan Rollau, w r. 1555 usuwając się, uroczystym aktem oddał całą budowlę na własność miastu, pod warunkiem ażeby została obróconą na cel naukowy.

Tu następuje epoka poważna i może najświetniejsza dla tych murów; założono w nich akademickie

gimnazjum i powołano doń znakomitości ówczesne uczonego świata. Przez mroczne korytarze i sale, młodzież chciwa wiedzy cisnęła się do mistrzów, pomiędzy którymi i nasz Lengnich rzucał z mównicy swoje głębokie badania.

Po zajęciu Gdańska przez Prusaków, ów gmach pyszny, tyłoma wspomnieniami ukoronowany, smutną koleją losu zmieniono na lazaret. Odtąd coraz mniej starań koło murów, coraz mniej było pieczy i uszanowania; to też klasztor tak szybko zaczął się pochylać do upadku, iż wkrótce, oprócz kilku wewnętrznych części, wszystko stało się prawdziwym, aż nadto romantycznym zwaliskiem. Żebyż przynajmniej zostawiono mu tę poezję zniszczenia! Ale w roku 1829 gmach został przeznaczony na składy wojskowe, i już zaczęto sale i krużganki przegradzać w ohydne kłitki, gdy szczęściem brak funduszy przerwał tę nadobną robotę. Ale przyszła chwila w której się miały skończyć dla tych murów czasy zapomnienia i zaniedbania, pojawił się dla nich wskrzesiciel.

Tu opowiadający zamilknął, bo też, jakby na przekór mojej ciekawości, zbliżyliśmy się do celu. Słońce już zaszło, zmrok zwolna się spuszczał; część miasta w którą weszliśmy była jakaś milcząca i pusta, domy niby zgrzybiałe. Niedaleko, szczytami trzech majestatów, strzelał kościół św. Trójcy; przed nami ciągnął się mur jakby cmentarny, ogradzający spiczaste wyzębienia zwalisk. W murze była brama; do tej bramy zadzwoniliśmy, nie raz, nie dwa, ale i dziesięć razy. Brama zdawała się zaklęta; cichość i groza panowały w kolo; jednak znajomi nasi cierpliwie czekali, mówiąc iż w tym obszarze jeden tylko jest żywy człowiek, więc mu niełatwo być na każde zawołanie podróźnych. Po kilkunastu minutach ozwał się szmer daleki, powoli zaczęły się odsuwać rygle bramy, potężne jak u więzienia, zgrzytnęły zamki zardzewiałe, i skrzydło bramy odwinęło się z jękiem, a za nią, na tle dziedzińca oszańcowanego łomami murów mszystych i popękanych, zarosłego bujną trawą, ujrzeliśmy tego, który nam otwierał. Po jego postawie uprzejmiej, ale pełnej swobody i godności, oraz po wzięciu z jakimś go nasi znajomi witali, poznałam wnet że to nie będzie zwyczajny oprowadziciel; przedstawiono nam go, mówiąc: „Iż oto jest pan Rudolf Frejtag, zaszczytnie znany rzeźbiarz, daleki podróżnik, człowiek co śmiało walczył z całym areopagiem ministrów, pustelnik w sercu miasta, wskrzesiciel, mieszkawca i pan tych ruin, założyciel muzeum gdańskiego, i t. d. i t. d.

Odurzona szeregiem tych osobliwych tytułów, i pochwał, spojrzałam na przedstawionego i zdziwienie moje się podwoiło; nie wiedziałam do jakiej pory ludzkiego życia go zaliczyć. Z ogólnej budowy dość szczerzej ale rozwiniętej, zdawał się w sile wieku; rysy u niego były jak u pacholecia, a włosy miał siwe. Odzienie nosił ubogie, ubielone pyłem od rzeźbiarskiej pracy.

Szliśmy za nim po miękko szeleszczącym zarośnięciu, aż wprowadził nas przez odarte sienie do sali niezmiernie długiej, sklepionej mistrzowsko i tak potężnie, że sklepienie żadnego nie potrzebuje filaru. Po chwili poznałam iż jestem w błędzie: znajdowaliśmy się nie w sali, ale w korytarzu klasztornym; takich korytarzów jest cztery. Po mojej omyłce możecie sobie wystawić ich szerokość i ogrom; każdy mógłby służyć za salę biesiadną na paręset osób. Klasztor jak widać postawiony był w czworobok. Wewnątrz zamkniętą przestrzeń otwartą, także czworokątną, dzisiaj zarosłą dziko; był to może ogród zakonników, a zdaje się że i miejsce ich ostatniego spoczynienia; po czterech stronach ogrodu biegły pod gmachem owe zamknięte krużganki, do których wszystkie wyjścia klasztornego labiryntu spływały, niby strumienie do rzeki. Dziś cały labirynt w gruzach, tylko krużganki przetrwały, jak pierścieni który w trumnie pozostał pogięty, ale całkowicie, podczas gdy ręka którą zdobił w proch się rozsyłała.

Obejście czterech korytarzy już jest dobrą przechadzką; w każdym z nich ściana wychodząca na wewnętrzny ogród popręcinana jest szeregiem wysokich okien; w dzień światło tu dostateczne, ale w godzinie naszych odwiedzin tak się już zciemniało, żeśmy ledwo mogli rozróżnić przedmioty cisnące się pod oczy, a jest ich bez liczby, bo tu znajduje się owo tak nazwane *muzeum*. W kolo sklepionego czworoboku biegają stoly z prostych desek, a na nich piętrzy się cały chaos ciekawości, czerpanych ze świata sztuki, przemysłu i archeologii: szare popielnice, krzemienne i spżżowe wykopaliska, które są jakby skamieniałe echa, echa głosów dawno zamkniętych, nigdy nierozbudzalnych! Przy tych gładkich toporkach błyszczą bronie pokoleń wykształcających w oświeceniu i... w zabójstwie. Co za przemysł w sztuce śmierci! co za przepych w jej przystroju! Stał damascenowana,

włócznie o złoconych dziobach, rękojeście z klejnotami, nakoniec broń palna ze swoją cudownie okropną misternością. Wśród tego lasu broni, jak zaczajone węże, siedzą starożytne, zielonawe działa.

Przy trofeach zniszczenia, przy urnach popiołowych, dziwnie odbijają dawne, muzyczne narzędzia; te o świetnych ustach z brązu, tanite o gitarowych sztykach. Wszystkie dźwięki życia, przy wszystkich milczeniach grobu; ale bo też nic bliżej się nie styka, jak te dźwięki i te milczenia; między nimi tylko poezja, tylko śpiew łabędzia.

Przy radosnych instrumenciech można widzieć i dawne stroje, nieraz pewno używane w płasach, którym przyszywały owe cytry i skrzypce.

Nad wszystkiemi górują sprzęty dawniej zdobące tutejsze kościoły, a które po wprowadzeniu reformy tułały się w zaniedbaniu: ołtarzyki otwierane, pełne świętych pieścidełek, ambony wiszące na białym tloku aniołów, jakby łódka na pianach fali, odrzwia haftowane w drzewie jak szarfa królowny, całe processy posągów, cała sfera pokoju i przeczuć wieczności, dla zrównoważenia tamtej sfery wojen i grobowców.

Te i tym podobne uwagi, porównania, obrazy sypały się z ust tajemniczego przewodnika; prowadząc nas wzdłuż stołów, tłumaczył wszystkie przedmioty z dumą prawie ojcowską, z gadatliwością z jaką ponik szczebioce na kamykach. Taka gadatliwość nieustanna ale słodka, spotyka się u wszystkich ludzi co się wyłącznie jakiej nauce albo idei poświęcili; milczący we wszelkiej innej treści, gdy na swoją natrafia, czują się niejako w obowiązku apostołowania, i nie ukoją sumienia, aż przedmiot do dna wyczerpią.

Ludził się jednak samotnik, gdy *całym* zbiorem bez różnicy się szczylił. W takiej liczbie łatwo pojąć iż nie wszystko równą posiada wartość; oprócz kilku przedmiotów prawdziwie nieoszacowanych, oprócz wielu ciekawych, reszta, czyli część większa, jest zupełnej mierności. Co jednak stanowi niezaprzeczoną zasługę, to że wszystkie bez wyjątku zostały zebrane z samego obrębu Gdańska.

Rzuciwszy okiem na ciekawości najważniejsze, resztę już z głębokim roztargnieniem oglądałam, i pomimo płynnej wymowy gospodarza, wzrok mój nieustannie uciekał do sklepień; ale bo też w budowie tej leży jakiś pociąg niewytłumaczony do *nieznanego*, które w parę chwil ogarnia przychodnia, choćby ten tu wstąpił w najchłodniejszym usposobieniu. Bo miejscowości mają swoje *niezwyciężone* wpływy; choćby najsilniej postanowił nad brzegiem morza myśleć o tym samem, o czem myślisz pod kaliną nad brzegiem strumienia, nie potrafisz; widok morza rozbudzi w tobie cały szereg idei, które cię w osobny prąd porwą. Tak samo rzecz się ma z budownictwem; każdy styl nadaje inny kolor duszy. Inaczej się myśli pod ukośnymi spłaszczeniami gmachów nadnilowych, inaczej wśród korynckich kolumn, inaczej pod kopułą rzymską, inaczej jeszcze wśród powietrznych niebotyczności gotyku. Ale są niektóre miejsca uprzywilejowane, niektóre doliny, niektóre budowy, posiadające władzę wprowadzania duszy w stan niby nadprzyrodzony, a przynajmniej w oczekiwanie tego stanu; jest to nadzieja, więcej powiem, chwilowa pewność, że się w tej miejscowości dowiemy czegoś z *za światła*. I podróżny nie potrafi opierać się temu wrażeniu, bo mu się nie chce oprzeć, jak człowiek co ma sen błogi, tyle błogi, że gdy się nawpół rozbudzi, opęda się światłu i znowu usiłuje zasnąć aby wrócić do złydy, choć wie że to tylko złuda.

W kilku okolicach, w kilku gmachach, doznałam już podobnych wpływów; najsilniej może w tych korytarzach opuszczonego klasztoru. Zdaje się że głównie je powodowała gra światła, spotęgowana złudzeniami godziny wieczornej. Szłam i szłam jeszcze, gubiąc się w marzeniach, które zwolna przybierały wszystkie pozory rzeczywistości. Nagle ocknąłam się i zlekłam, czy opowiadacz nie był obrażony mojem roztargnieniem; ale stało się zupełnie przeciwnie. Zaczął spoglądać z rodzajem uszanowania, z jakim wtajemniczony adept spogląda na człowieka w którym się także domyśla wtajemniczonego. Potem, choć słowa nie wyrzekałam, ozwał się: „Masz pani słuszność; po co nam oglądać podobne bawidelka, kiedy mamy przed sobą te mury? Jako odpowiedź zaczęliśmy na wysięgi chwalić piękność budynku, i zdziwiłam się że gdy dla muzeum tyle miał wymowy, teraz stał się milczący; poznałam iż to milczenie było objawem uczucia głębszego niż tamte. Dotknęliśmy czułą strunę duszy; ni by szukał wyrazów i nie mógł dobrze odpowiednich wysokości swych myśli, tylko rokoszował się, pał się pochwałami innych; zwolna zdawał się przypominać o naszej obecności, aż zatopiwszy wzrok w sklepieniu, wyrzekł: „Tak, w tych murach jest tajemnica; ale któż zdoła żyć dość długo, aby zawołać: Eureka! Czemuż tu wcześniej nie przybyłem?“

Nastąpiła chwila ciszy, po której marzyciel, jakby przypominając sobie że nie jest samotny, przybrał znowu uśmiech gościnności. Dla nawiązania rozmowy, ktoś spytał: „Więc pan tu mieszka sam jeden?“ „Sam, ale nie w tych krużgankach, tu nikt nie *powinien* mieszkać; urządziłem dla siebie blizką żład komnatę, która jeszcze dotąd nie runęła. Jeśli państwo zechcą, mogę ich do niej zaprowadzić, tém bardziej że i tam jest kilka przedmiotów godnych obejrzenia.“

Przystaliśmy chętnie; on dodał: „Zaraz przyjdę otworzyć;“ i zniknął w jednym z wyjść pomniejszych, w ciemności ledwo domyślnych. Pomimo iż byliśmy w kilka osób, po jego odejściu stało nam się jakoś mniej rażno; to pewna, że nie byliśmy rozmowni. „Bardzo piękne sklepienie,“ ozwała się. „Bardzo,“ wszyscy odpowiedzieli, i znowu cicho. Ale była między nami dama, której cichość zdawała się cierpieniem. Osoba ta, wielce miła i godna, po ciężko przebytej chorobie zachowała drażliwość dochodzącą do melancholii; ta wzięła mię pod rękę i rzekła: „Pójdźmy żład... tu niezdrowo dla duszy.“ I nikt się nie sprzeciwił; wyszliśmy z krużganków i znaleźli się pomiędzy rudarami stanowiącemi sien dawną.

Tuż przy nas, w murze, ozwało się zgrzytnienie, obejrzelśmy się z podziwem i spostrzegli małe drzwi otwarte: w nich czekał nasz artystyczny przewodnik. Stajemy w komnacie, a raczej w sali wysokiej jakby kaplica, odartej, z murami porysowanymi i wiejącymi próchnem. Musiał to być albo refektarz, albo obszerny skarbiec; dziś wszystko tu jak w krużgankach tchnęło prawdziwie grobowym zniszczeniem. W jednym rogu, za wiotką przegrodą, gospodarz urządził sobie kącik niby mieszkalny; zresztą cała komnata była obstawiona, zawałona przedmiotami większemi niż te które mieściły się w korytarzach: stały posągi z podobianymi członkami, tryptyki jaskrawo uprzytomniające męczeństwa i cuda, kolébkowe powozy jakimi przed wieki jeżdżono, a nadewszystko zajęły mię starożytne sanki, całe malowane w najdziwniejsze wzory i concepta.

Pomimo godziny wieczornej, przez ogrom i wysokość okna, mogliśmy dokładnie wszystko rozpoznać, bo też widnokrąg był niezmierny jak na tę godzinę jasności, a co zmrok ukrywał, to lepiej że się ukryło: prozaiczne cechy zaniedbania, opadłe tynki, sieci Arachny i wszelkie przedmioty wstrętu zacierały się w półświatle, a występowała tylko potężna, jednolita, niewytłumaczona żywo wyciskająca poezja zwalisk.

Po obejrzeniu komnaty, pustelnik za próg nas wypuścił. Sam pozostał, gdyż, jak się zdaje, tylko z wewnątrz mogła się zamykać, i zawoławszy: „Zaraz wrócę,“ zatrzasnął ciężkie podwoje. Znaleźliśmy się w ciemnicach sieni, której mury porozpadane w szczeliny, dozwalały widzieć smugi błękitu gwiazdami ponawlekanymi. Chcieliśmy wyjść na dziedzińiec, ale wśród stosów gruzu straciwszy drogę, stanęliśmy w jakichś drzwiach pomrocznych. Znagła wielkie światło się rozlało, księżyc wystąpił z za chmury i okazał żeśmy stali znowu u wejścia krużganków. Te pod światłem miesięcznym zupełnie były przeobrażone, zdawały się ustępem wyrwanym z księgi chaldejskich magów; każde okno wpuszczało falę jasności, i tak krużganek był napręgowany pasami srebra i kiru, niby uobrazowaną walką Ormuzda i Arymana, a na dwóch krańcach gdzie okna ustawały, w dwóch tumanach cienia zdawał się nie mieć końca; aż do takiego tumanu doszedłszy, nowy podziw ogarniał, bo oto z boków, druga magiczna galeria otwierała się do nieskończoności. A dopiero gdy obłok po księżycu przepływał! Wtedy w każde okno koleją wpuszczając swój zarys, czołgał się po krużganku smoczemi kształtami. A dopiero gdy wietrzyk powstał i rozkołysał bluszcze wiszące u okien! Wtedy pasy światła w krużgankach marszczyły się i drgały rysunkiem pokręconym jak napis runiczny. A dopiero gdy puszczek ozwał się w gestwinach, zimny dreszcz włosy podwiewał! Moznaby cały dramat ułożyć z tej gry cieniów i dźwięków, dramat którego księżyc byłby Hamletem, bluszczowa gałąz Ofelią, puszczek monarszym przywłaszczycielem, a zwaliskowe kamienie jego tłumnym dworem.

Tą razą nie wyszliśmy, ale jak podróżny, co jadąc nad przepaścią, wie że lepiej w nią nie patrzeć, a przecież coraz to spojrzę, rzuciliśmy się w ten zawrót wrażeń i szli pod sklepieniami, z których jak rosa ruin, kapłała tęsknota. W podobnych chwilach najmilej być samotnym, a przynajmniej żadnego głosu nie słyszeć. Ale najbardziej harmonijne chwile tego życia rzadko się obejda bez fałszywego dźwięku; i między nami było kilku młodzieńców, których pustota maciła uroczyść widowni. Pomimo iż nic nie widzieliśmy niezwykłego, jeden z nich ozwał się z doskonale udaną bojaźnią: „Czy widzicie państwo, tam, tam, daleko?“ „Cóż takiego?“ „Jako, nie widzicie? Tam coś

idzie....“ „A prawda,“ rzekł drugi, „to wyraźnie pokutująca mara któregoś z tutejszych mnichów....“ Wiedzieliśmy wszyscy że to żarty, przecież śmiać nam się nie chciało, a smutna dama drgnęła galwanicznem drgnięciem i rzekła: „Młodości! Nie wyzywaj potęg ci nieznanych.“ Na to młodość odpowiedziała nowemi psotami. Dla uniknięcia podobnych wrażeń, wyprzedziłam towarzystwo i stapałam naprzód, pijąc naprzemian światło i ciemności, echa i milczenie; aż nagle przypomniała mi się owa cudowna a przerażająca galeryja, niewiadomo na jakim świecie wykuta, którą Faust z ognistym kluczem szedł za wielkimi *matkami*, „a z nich jedne stały a drugie siedziały.“ Scena ta, w najzwyczajniejszym czytaniu piorunująca, tu na teatr rozwalin wywołana, pochodnią *nocy letniej* oświetlona, działała na mnie jak duchowe opium; szłam, nie wiedząc gdzie i z kim idę, nie wiedząc nawet czy idę. Zdawało mi się że płynę, że się rzucam coraz szerszym wirum, w błękitnawej, rozśpiewanej próżni.

(Dokończenie nastąpi).

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Poznań, w listopadzie 1861 r.

Żądasz odemnie, szanowny redaktorze, abym ci przedstawił obraz naszego życia, chcesz wiedzieć co porabiamy, aby w twém piśmie zebrać zarys ogólny naszych działań. O! mógłbym ci bardzo wiele napisać; czy na naszą pochwałę, czy naganę, w to już nie wchodzę, gdyż nie chciałbym być ani domowym chwalcą, ani błotem obrzucać swoich. Wprawdzie bezstronnie rzucone słówko w czas odpowiedni, nieraz obudzi lub powstrzyma niejednego i wyda przez to obfite owoce; ale z wielu bardzo przeważnych względów, ograniczyć muszę me słowa i tylko przesyłać do was jakby przez szczeliny nagie wypadki, lub rzucić lekki listek z wiatrem, aby do was doleciał.

Życie nasze, dość długo spokojne i jakby drzemiące, naraz silnie ku lepszemu budzić się zdaje. Jak może wszędzie, tak i u nas oddawna ukazywało się wiele potrzeb, którym zaradzić należało, które może niejednen więcej myślący oddawna uczuwał, coś napomykał znajomym i sąsiadom i robił je przedmiotem pogadanki, gdy się kilku razem zebrało. Każdy też zwykle wychwalał szczęśliwy pomysł i wielkie ztąd wyniknąć mogące skutki; lecz wszystko się kończyło, gdy ci znajomi i sąsiedzi z sobą się rozstali, bo wszystko okazywało się do wykonania trudnem, ogólny był brak przedsiębiorczości, a rzucone czasem mimochodem słówko, rzadko nawet kiedy stawało się bliżej oznaczonym pomysłem, nad którymby się stanowczo zastanowić wypadało. Był wprawdzie czas że i my mieliśmy u siebie liczne stowarzyszenia, a każdy brał sobie za obowiązek nie odłączać się od drugich, i opłaciwszy rocznie kilka talarów, nie pytał nawet często o cel stowarzyszenia. Aleć sama ta opłata nie była w stanie rozbudzić życia bez gorliwości stowarzyszonych, a wszystkie takie przedsięwzięcia nikły wkrótce, z braku wszelkiego interesu i zajęcia. Jedno tylko towarzystwo naukowej pomocy dla chcących się kształcić ubogiej młodzieży, pozostało z tych czasów i istniejąc już dość długo, przetrwałszy niejedną straszliwą burzę, a ciągle wspierane licznymi składkami, najpomysłniejsze wydaje owoce. Wyrwało już ono z ukrycia i postawiło na odpowiedniem zdolnościom stanowisku, niejednego utalentowanego młodzieńca, który bez tej pomocy byłby znikł i zmarniał. Zdawało się też przez czas długi, jakby cała działalność Poznańczyków na tém jedynem towarzystwie się wyczerpywała. Obok tego były wprawdzie tu i owdzie po powiatach towarzystwa rolnicze, ale te, bez organizacji na większe rozmiary, ograniczały się tylko na swych powiatowych działaniach, nie mogły przeto wydać ani wielkich skutków, ani wpłynąć stanowczo na poprawę rolnictwa w naszej okolicy. Kończyło się więc na dobrych chęciach i kilku do roku towarzyskich zjazdach na posiedzenia i mało znaczące powiatowe wystawy inwentarzy, roślin i narzędzi gospodarczych. Naraz wszystko się zmieniło i przybrało poważniejsze, więcej wybitne znamię. Rozrzucone po powiatach towarzystwa rolnicze, połączyły się w jedno towarzystwo na całe w. ks. poznańskie, z dyrekcjami filialnymi po powiatach. Obok tego utworzono inne towarzystwo, mające na celu polepszenie losu urzędników gospodarczych i ekonomów, już to pośrednicząc pomiędzy nimi i ich chlebo-

dawcami, aby według zdolności i zasług pozyskać mogli odpowiednie dla siebie pomieszczenie i służbę, już też aby im przyjść w pomoc pieniężnie, gdy nie z własnej winy pozostaną bez służby, lub gdy skutkiem wieku czy słabości do służby będą niezdolni. W miastach Poznaniu i Gnieźnie zawiązano towarzystwa: czeladzi, przemysłowe i pożyczkowe dla przemysłowców.

Powiemy później obszerniej o tych towarzystwach, abyście poznać mogli obraz naszych prac i społecznego działania; dziś tylko wspomnié chcemy o jednem, może najważniejszem, zwanem „Tellus,“ o którym już dawniej wszystkie prawie pisma polskie w obszerniejszych wstępnych artykułach najprzychylniej się wyraziły, zachęcając kapitalistów do czynnego i licznego w tém przedsięwzięciu udziału. Jeżeli pierwsze z powyżej wspomnianych towarzystw wzięły sobie za cel interes i polepszenie bytu pewnych części mieszkańców naszych, to Tellus zajmować się ma sprawą ogólną w. ks. poznańskiego. Stan majątkowy obywateli naszych ziemskich coraz bardziej upada, świadczą o tém dostatecznie coraz częstsze sprzedaże sądowe dóbr od najdawniejszych czasów do rodzin naszych należących. Wartość nawet posiadłości ziemskich z każdym rokiem upada, a ludzie obcy wykupują dobra nasze, często za bezcen. Nie chcemy nikogo bronić, a nawet otwarcie wyznamy, iż niejednen, odziedziczywszy po ojcu znaczny i czysty majątek, przez lekkomyślność i niezastosowanie się do okoliczności, przyszedł do ruiny. Ale obok tego wiele jest innych powodów ogólnej klęski, jak n. p. ostatnie przez lat kilka nieurodzaje i różne dotkliwe dla rolników przygody. Główną zaś klęską pozostanie zawsze brak publicznych stowarzyszeń kredytowych, któreby każdemu, za pumierny odsetek, łatwość w zaciągnięciu potrzebnej pożyczki nastęrczyły. Różne oddawna do tego robiono projekta. Około półtora miliona talarów, spoczywających beczynnie w starém ziemstwie kredytowem poznańskim, mogły stanowić aż nadto dostateczny fundusz zakładowy dla banku obywateli ziemskich; ale wszystkie tego rodzaju pomysły rozbiły się o wolę administracji, która odmawiała zawsze upoważnienia podobnym przedsięwzięciom. Tak więc niejednen najogólniejszy nawet gospodarz upadał, z powodu braku kapitału którymby mógł swe gospodarstwo zasilić, albo też stawał się pastwą lichwiarzy. Dlatego od niejakiego czasu między obywatelami ziemskimi powstała myśl utworzenia spółki, mającej na celu nabywanie majątności ziemskich na sprzedaż wystawionych. Ale i to przedsięwzięcie natrafilo jeszcze na przeszkody, bo lubo obecne przepisy krajowe nie wzbrańały zawiązania takiej spółki, lecz takowa w obliczu prawa musiała być przedstawioną przez pewną osobę, która znów zezwolenie rządowe w tym celu uzyskać musiała. Nowe dopiero prawo handlowe, które od 1 marca 1862 r. będzie miało moc obowiązującą, usuwa te przeszkody, pozwalając każdemu stowarzyszeniu przemysłowemu lub kupieckiemu, przybrać pewną firmę i działać pod jej imieniem we wszystkich czynnościach administracyjnych i sądowych. Od pierwszego więc marca roku przyszłego rzeczone stowarzyszenie ma rozpocząć swoje działanie. Choćby zaś nawet towarzystwo nie zdołało obronić dóbr podwzględem przechodzenia ich w obce ręce, to przynajmniej przez podniesienie konkurencji, ceny muszą się podnieść i zapobieżę się przez to, aby majątki prawie za bezcen pozbywane nie były; a więc pod każdym względem pożyteczność tego stowarzyszenia jest widoczna.

Fundusz obrotowy stowarzyszenia ma wynosić 2,000,000 tal., powstałe z akcji po 100 tal., wydanych najprzód w summie 1,000,000 tal. Stowarzyszenie rozpocznie swe działanie, skoro akcji rozebranych będzie za 200,000 tal. Należy się spodziewać że te podpisy w naszym księstwie zebrane zostaną, a świetną towarzystwo mogłoby pozyskać przyszłość, gdyby i te kapitały rodzin polskich powierzone mu zostały, które teraz w obcych krajach, osobliwie we Francyi, albo mały przynoszą procent, albo nawet wprowadzone są na tę samą drogę, na której w fałszywych i niepewnych spekulacjach miliony już podobno przepadły. Kapitały zaś ulokowane w Tellusie, obok zupełnego bezpieczeństwa, zapowiadają właścicielom ich te korzyści, jakie zwykle zyskujemy przez tanie kupno majątności ziemskich. Wszelkie spekulacje hazardowe, przedsiębiorstwa i obroty pieniężne, są wykluczone z działań towarzystwa, które bierze sobie głównie za cel: 1) kupna i sprzedaże majątności ziemskich, jakoteż ich zarząd, dopóki są w ręku towarzystwa; 2) kupna i sprzedaże hipotek na własnościach ziemskich ulokowanych; 3) pożyczki z pewnością hipoteczną na majątki ziemskie i 4) przyjmowanie zleceń do czyn-

ności pod nr 1 i 3 wymienionych. Przy takim postępowaniu, zapewne dla stowarzyszonych wynikną wyższe korzyści, jak z ulokowanego na hypotecę kapitału lub zakupionych papierów, zwłaszcza gdy przy zakupowaniu i administrowaniu majątków, głównie tylko wydobycie jaknajwiększych dochodów będzie miane na celu. Towarzystwo więc rzeczone zdaje się zapowiadać nietylko błogie skutki dla posiadzcicieli ziemskich, ale także dostateczne korzyści dla pojedynczych stowarzyszonych członków i powinno zachęcać do najliczniejszego udziału.

Obok wyżej wspomnianego towarzystwa centralnego gospodarczego, pomyślano tu także o zawiązaniu spółki rolników, na wzór domów zleceń w różnych okolicach królestwa polskiego zawiązanych. Wybrana w tym celu kommissya, odebrała polecenie zebrania akcji na 100,000 tal., wynalezienia osób kwalifikujących się na naczelników firmy i w ogólności otrzymała najobszerniejsze pełnomocnictwo, dla doprowadzenia do skutku tego przedsięwzięcia. Jednakże do 1 go lipca roku b. zdołano zebrać tylko podpisy na 47,900 tal., niedochodzące nawet połowy zamierzonej summy, a nikogo nie zdołano znaleźć, coby chciał być naczelnikiem firmy. Wśród tak niepomysłnych okoliczności, kommissya, widząc w stowarzyszeniu Tellus wielkie zbliżenie do swych celów, uznała za rzecz stosowną odstąpić od zawiązania zamierzonej spółki rolników, wypowiadając zarazem życzenie, aby podpisujący akcyonaryusze spółki do towarzystwa Tellus się przyłączyli. Nie mamy więc powodów do ubolewania nad upadkiem spółki rolników, ale raczej cieszyć się możemy, że kommissya nie starała się rozdzwajać sił, że uznała w Tellusie ważniejsze cele i obszerniejsze zakresy.

Przejdźmy teraz do przedmiotów naukowych. Towarzystwo poznańskie przyjaciół nauk, dopiero od lat czterech istniejące, odbyło w dniu 28 października r. b. pierwsze swe po feryach szkolnych posiedzenie. Powaga jego widocznie rośnie, czego najlepszym są dowodem dość liczne zadania konkursowe towarzystwu do przeprowadzenia i ogłoszenia powierzane. Wyliszmy je tutaj, aby dać tém lepszy obraz działania jego, a zarazem aby naszym rodakom naukami się trudniącym przypomnieć zadania konkursowe dawniej ogłoszone, obznajomić z nowemi i pobudzić ich przez to wraz z nami do pracy i ubiegania się o wyznaczone nagrody.

1. Najpierwsze zadanie konkursowe, to jest napisanie: *Historji włościan i stosunków ekonomicznych w dawniej Polsce*, podał towarzystwu hr. August Cieszkowski, obecny prezes towarzystwa po śmierci hr. Tytusa Działyńskiego, i jako nagrodę za pracę która uznana zostanie za najlepszą, przeznaczył 6000 zlp. Towarzystwo, przez wyznaczoną kommissyą wypracowawszy stosowny program, ogłosiło ten konkurs w pismach polskich do 1 lipca r. b., ponieważ żadnej pracy w pierwszych dwóch latach nie nadesłano. Gdy i to przedłużenie czasu konkursowego nie wydało żadnego skutku, zarząd towarzystwa, zgodnie z życzeniem hr. Augusta Cieszkowskiego, mając na uwadze ważność przedmiotu, potrzebującego bez wątpienia znacznej i dłuższej pracy, w przypuszczeniu że ją może gdziekolwiek już rozpoczęto i chcąc każdemu pozostawić dostateczny czas do wykończenia, przedłużył na nowo termin do nadesłania pracy konkursowej do d. 1 lipca 1862 r. Pierwotne zaś ogłoszenie o tyle teraz zmienionem zostało, iż nietylko prace nowe, ale nawet ogłoszone już drukiem od czasu założenia tutejszego towarzystwa przyjaciół nauk, do udziału w konkursie przypuszczone będą.

2. Drugi konkurs jest Norberta Bredkrajca. Mąż ten, któregośmy tu znali pracującego w roli jako dzierżawca, a później właściciel małej wioski, był wielkim lubownikiem muzyki, a większym może jeszcze wielbicielem dramatu. Sam wystąpił w tym rodzaju piśmiennictwa i ogłosił drukiem dramat: „Matka-bohaterka,“ wydany w Wroclawiu 1843 r., którego krytyka nie nader korzystnie dla niego wypadła. Umarł dość młodo w lipcu 1858 r. i spoczywa na cmentarzu przy kościele w Zdzeszu, w powiecie krotoszyńskim. Majątek swój, składający się z około tal. 15,000 w dość niepewnych hypotekach, po zaspokojeniu niektórych legatów, zapisał hr. Alfonsowi Taczanowskiemu, z warunkiem aby dochód od tego kapitału używany był na wynagrodzenia coroczne autora pracy dramatycznej, filozoficznej, historycznej lub statystycznej, którą hr. Alfons Taczanowski i następcy jego, jako posiadziciele nowo założonego majoratu, z przesłanych sobie za najlepszą uznają. Po uregulowaniu tej pozostałości, wykryło się w ogóle na cel

powyższy 500 tal., które Alfons hr. Taczanowski zabezpieczył na posiadłości ziemskiej, ocenienie zaś prac autorów zasługujących na wynagrodzenie, powierzył raz na zawsze tutejszemu towarzystwu przyjaciół nauk. Na pierwsze więc konkursowe zadanie wybrało towarzystwo napisanie *Żywota Tadeusza Kościuszki*. Konkurs ten wkrótce przez pisma publiczne ogłoszony będzie. W tym życiu ma być także dany pobieżny obraz historii krajów i narodów z Polską podówczas sąsiadujących, lub z nią w styczności będących. Termin do nadesłania tej pracyznaczony został do d. 1 stycznia 1863 r. Nagroda procent dwuletni od kapitału, czyli tal. 500. Zatrzymaliśmy się dłużej przy tym legacie, gdyż następnie z tego funduszu corocznie konkurs ma być ogłaszany.

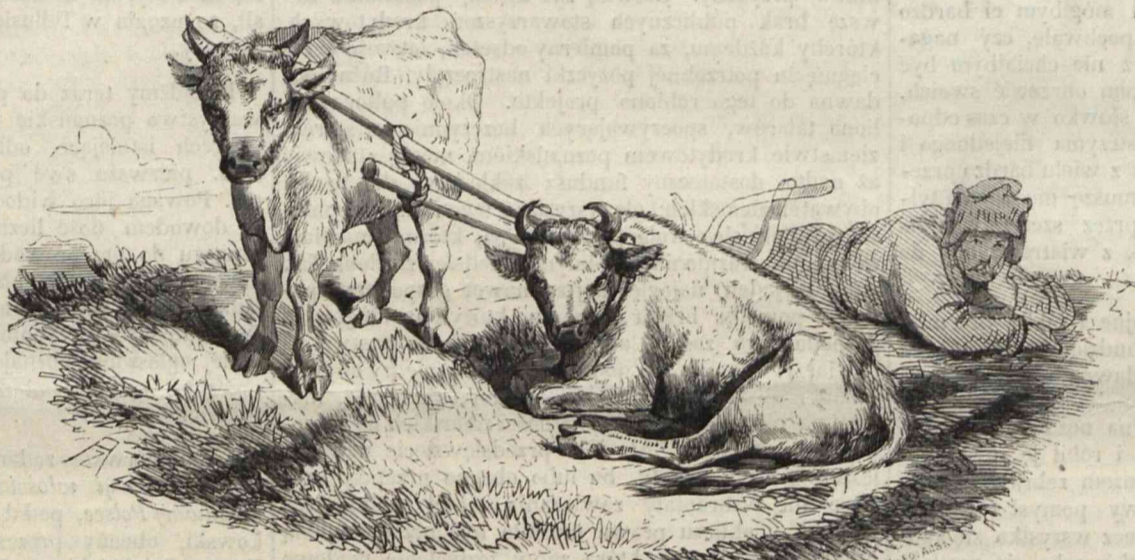
3. „Czém były dla Polski i czém być mogą w przyszłości praca i oszczędność, oraz próżniactwo i zbytek?” jest trzecie zadanie konkursowe powierzone towarzystwu. Wyznaczający to zadanie społeczno-moralne, podpisał się w liście swoim S. Z. Wypracowanie programatu tej rozprawy powierzone zostało dopiero teraz kommissyji w tym celu wybranej. Jako nagrodę za pracę najlepszą, przesłał konkursodawca dwie akcje drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej, w imienną wartości 268 talarów, do których oddający takowe dołączył jeszcze 35 talarów w monecie pruskiej, prezesa zaś towarzystwa, hrabia Cieszkowski, uzupełnił z własnych funduszy nagrodę w ten sposób, że takowa, bez względu na rzeczywistą wartość akcji, wynosić będzie stale 300 tal. w pruskiej monecie.

4. Wydział nauk przyrodzonych towarzystwa, wyznaczył nagrodę 500 złp. za najlepszą pracę konkursową *O życiu i pismach Johnstona*, rodem z Szamotuł w Poznanskiem. Kommissya jednak uznała za rzecz stosowną pominąć Johnstona, którego życie i prace dostatecznie są znane, a w to miejsce zająć się *Ciołkiem Vitellionem*, znakomitym optykiem, żyjącym około roku 1270, którego narodowość obcy w wątpliwość podają, pomimo tego że się urodził w Krakowie, uwłacza-

jąc oryginalności jego pracy, chociaż dzieło jego o optyce w dziesięciu księgach sławę sobie zjednało, gdy ta nauka wówczas jeszcze w zachodniej Europie nieznaną była. Kommissya wzięła sobie głównie za za-



PRACA. (Rysował Zaleski w Wilnie).



ODPOCZYNEK. (Rysował Zaleski w Wilnie).

danie, porównać dzieło jego, z pracą jego poprzednika w tej nauce, to jest Araba Alhazena, tém bardziej gdy Ciołkowi niektórzy zarzucają, że dzieło jego jest prostym tylko wyciągiem z optyki Alhazena. Gotowy już program, ma być na najbliższym posiedzeniu towarzystwa do obrady przedłożony. Szczęśliwy wybór zrobiła kommissya, gdyż jak z jednej strony jest obowiązkiem wykazywać prawdę, tak z drugiej winniśmy bronić naszą przeszłość.

Nakoniec mają być jeszcze przygotowane konkursy w przedmiocie *pisemek elementarnych dla ludu*. Wypracowanie w tej mierze programu, powierzył zarząd towarzystwa członkowi swemu Władysławowi Niegolewskiemu. Rozumié się samo przez się, iż pisma uwieńczone, pomimo odebranej nagrody, pozostaną własnością autora.

(Dokończenie nastąpi).

ORACZ.

I.

Hejże wołki! słonko wschodzi,
Spieszą rażno dzieci Boże,
Do roboty starzy, młodzi,
Co kto umie, gdzie kto może!
Toć wyruszyć i nam trzeba,
Zaorzemy żyzną niwę,
Pracowitym Bóg da chleba
I wejrzenie litosciwe.
Po roboty ciężkim znoju,
Żłób napelnię wonną trawą,
Zaprowadzę was do zdroju,
Hejże wołki! żwawo! żwawo!

II.

Kto opuszcza silne ręce,
Kiedy ziemia woła pracy,

Ten w żebrazej skona męce,
Bo przekłęci są próżniacy!
Nie w ich duszy myśl radosna,
Nie ich cieszy bujne pole,
Cóż zielona da im wiosna?
Ciernie, chwasty i kąkole!
Zginą własnych pól odzierce,
Nędza zgniecie ręką krwawą,
Krzyk sumienia struje serce,
Hejże wołki! żwawo! żwawo!

III.

Jak się spulchni rola czarna,
Pójdziem z broną na robotę,
Gdzie nie padną złote ziarna,
Nie wyrosną kłosa złote!
By nam siewy nie zakrzepły,
Bóg je śniegiem przydzieje,
W maju ześle dęszczyk ciepły
I pszenica zarunieje.
Łan się cudnie zazieleni,
Pójdzie dola za uprawą,
Będzie zboże na jesieni,
Hejże wołki! żwawo! żwawo!

IV.

Razem, razem! nie w dwie [strony],
Żle z skibami szarpanemi,
Grunt nierówno uprawiony
Karłowate kłosa plemi.
Tutaj wyżej, tutaj głębiej,
Niejednako padną ziarna,
Jak połowę mróz wyziebi,
Cała praca będzie marna!
Razem! razem wołki moje,
Równą siłą! Hej niemrawo!
Bo jeść nie dam, nie napoję!
Razem wołki! żwawo! żwawo!

V.

Nie przestawaj! jeszcze rano,
Jeszcze słońce nizko świeci,
Nie zarobisz,—samo siano
Do obory nie przyleci!
Póki ugór niezorany,
Póty jarzmo wam na karku.
Hejże siwy! no bułany!
Potem wrócim do folwarku.
Po roboty ciężkim znoju,

Żłób napelnię wonną trawą,
Zaprowadzę was do zdroju,
Hejże wołki! żwawo! żwawo!

Jan Chęciński.

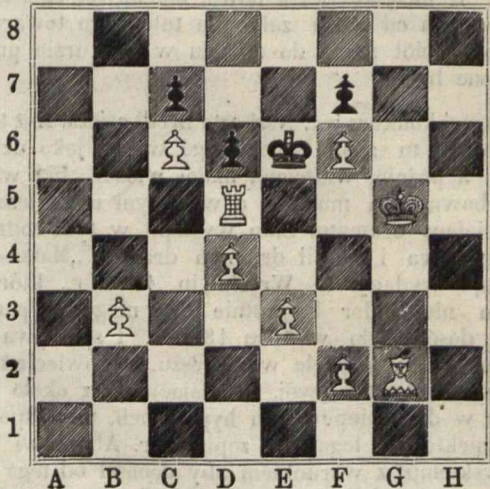
SZACHY.

ZADANIE LXXXIX.

(Józef K. ze Lwowa).

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.

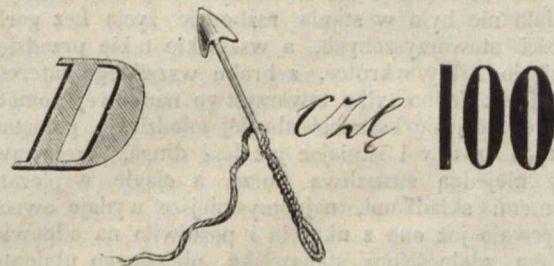


Białe.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 113.

Słowo rozważne do serca trafia i zdziałać wiele może, wykrzyk nikogo nie ustraszyc pewno.

REBUS.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 88.

Białe.

Czarne.

- 1) F 7 — D 8 † 1) E 6 — D 5.
- 2) G 7 — E 5 † 2) D 4 — E 5 biorą.
- 3) D 3 — B 4 † 3) D 5 — D 4.
- 4) H 6 — E 3 † i mat.